

JĘZYK POLSKI

WYDAWNICTWO KOMISJI JĘZYKA POLSKIEGO
AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

O starożytności języka polskiego

w świetle ostatnich badań nad stanowiskiem języków germańskich.

(Dokończenie).

Idzie o tę różnicę podłoża etnicznego, o którą potrąciłem wyżej. Wiadomo, że kiedy mówimy, wszystkie czynne przytem narządy zajmują względem siebie pozycje, ułożone w pewien stały stosunek, który u różnych narodów jest różny. Stosunek ten wynika po pierwsze z wzajemnego układu narządów mownych, nabywanego w drodze naśladownictwa, które odbywa się nieświadomie, t. j. bez zdawania sobie sprawy, o co właściwie idzie, u dzieci uczących się mówić, świadomie zaś u starszych, uczących się obcych języków. Ale stosunek wspomniany wpływa powtórnie także z tendencji do pewnego układu (po części może nawet z budowy) wszystkich narządów mownych, przekazywanej dziedzicznie w obrębie danej społeczności szczepowo-językowej. Jest on w tym zakresie na ogół od świadomej woli człowieka niezależny, t. zn. może go w szczególnych warunkach pokonać jednostka, najłatwiej dziecko przeniesione w otoczenie obco-językowe, ale nie pokonywa go nigdy zwarta masa. Ogółem biorąc, od pierwszego warunku zależy to, co nazywamy poprawną wymową, od drugiego to, co się popularnie mianuje akcentem np. paryskim. Można mieć błędną wymowę nawet we własnym języku, jeżeli się np. jąka, albo »połyka wyrazy«, albo nie nauczyło za młodu wymawiać *r* itp. Można też w obcym języku posiadać wymowę dobrą, nawet czasem bardzo dobrą, a mimo to mieć »lekki akcent cudzoziemski«, t. zn. nie umieć wdrożyć się do odpowiedniego zespołu i wzajemnego ustosunkowania pozycji narządów mownych, czy to skutkiem braku dostatecznego talentu naśladowczego, czy to poprostu skutkiem niemożności, mimo wszelkie wysiłki, zmiany podstawy artykulacyjnej i dziedzicznych w tym zakresie nałogów. Iluż to Polaków, urodzonych i wychowanych we Francji albo w Niemczech, zachowuje zawsze w tych językach pewną łagodną miękkość, po której zaraz poznać Słowianina! Jakże trudno Niemcom południowym, nawet sfrancuziałym politycznie Alzateczy-

kom, dać sobie radę z wymową francuską! Oczywiście wpływy działające na gromadę i dziedziczone przez jednostkę, oraz działające na jednostkę i przyjmowane przez nią, układają się jaknajrozmaiciej z bujnością szczegółów nie dającą się — dziś przynajmniej — ująć w żadne reguły. Mimo wszystko fakt pozostaje faktem, że ogółem biorąc pewnym różnicom plemiennym i szczepowym odpowiadają pewne różnice w sposobie wymawiania, czyli w typie artykulacyjnym, zależnie od układu i wzajemnego stosunku narządów mownych. Po pierwszych — jak to bywa — przygodnych głosach i uwagach, rozwinął i podkreślił ten punkt widzenia uczony włoski Ascoli, jeden z przywódców wielkiego i płodnego przełomu, jaki się dokonał w językoznawstwie mniej więcej w ósmym dziesiątku zeszłego stulecia. Pogląd swój przeprowadził na szeregu przykładów, zwłaszcza romańsko-celtyckich, w obszernym rozdziale pracy p. t. *Una lettera glottologica*, Turyn 1881, później w zbiorze tych listów. Od tej pory jedni uczeni przesadzali w tym kierunku, inni przeciwnie, zaniedbywali go zupełnie, zajęci badaniem formalnej strony języka. Niewątpliwie sprawa jest zawiła i daleko nam do tego, ażebyśmy stosunek podłoża etnicznego do formy dźwiękowej umieli ująć w jakąś ścisłą normę. Niemniej rzeczy się powoli precyzują. Studja przedsiębrane nad gwarami polskimi przez prof. Nitscha wskazują, mimo ostrożności, z jaką ten uczony kwestję traktuje, że między linią podziału gwarowego a szczepowego istnieje nieraz ścisła analogja. Jeszcze jaśniej występuje ona w świetle badań prof. Czekanowskiego (znanych mi z ust badacza, ale o ile wiem — sprawdzić w tej chwili nie mogę — w druku dotąd nie ogłoszonych) nad rozsiedleniem szczepów polskich. Wyniki badań obu uczonych poparty się wzajemnie. Jeszcze wyraźniej występuje wpływ podłoża etnicznego na wymowę w obszarach spolszczonych. Po szczegóły odsyłam do prac prof. Nitscha i do jego map gwarowych; dla niejęzykoznawców opracowanie popularne, *Mowa ludu polskiego*, Kraków 1911 (p. mapkę, a w tekście zwłaszcza str. 36 n., 49 n.). Podobnych faktów spostrzeżono tak wiele, że dość tylko stwierdzić ich istnienie, nie wdając się w mnożenie przykładów. W masie, stanowiącej odrębną społeczność językową, swoisty układ narządów mownych i związane z nim właściwości artykulacyjne przechowują się ogromnie uparcie. Oczywiście swoistość ta może być bardzo różnego stopnia. Stanowczo odmienny jest zespół nałogów i właściwości artykulacyjnych np. u Polaków a Rosjan, a jednak różnica ta spada do zera wobec różnicy, jaka w tym względzie zachodzi między Słowianami z jednej strony a np. Semitami z drugiej. Pomimo, że osobno wzięty każdy chyba Żyd europejski może się zu-

pełnie dobrze nauczyć po polsku, rosyjsku czy jeszcze inaczej, to jednak masa Żydów, aczkolwiek posługuje się nie hebrajszczyzną ale żargonem, a więc gwarą niemiecką, przecie zachowała ten charakterystyczny charkot gardłowy semicki, po którym na sto kroków poznać obrady czarnej giełdy. Znaczy to, że Żydzi, mimo że dawno przestali mówić po hebrajsku, zachowali jednak właściwy hebrajszczyźnie układ narządów mownych i nawyki artykulacyjne, przenosząc je na język przez siebie przyjęty. Innemi słowy, dany język, w tym wypadku gwara niemiecka, zaszczerpiony na obcem podłożu etnicznem, tutaj żydowskiem, nabrał właściwości artykulacyjnych języka obcego, wyrosłego na owem podłożu. — Tyle ogólnych uwag o różnicy podłoża etnicznego. Przejdźmy do szczegółowych.

Fakty takiego wpływu obcego podłoża etnicznego na system artykulacyjny są bardzo dobrze znane w rodzinie języków indoeuropejskich. Klasycznym przykładem jest język ormiański. Jest to język indoeuropejski, przyjęty w jakim VII w. prz. Chr. przez ludność nie-indoeuropejską, przedstawiający bardzo odmienny typ artykulacyjny. Toteż w ustach tej ludności język indoeuropejski zmienił typ swojej wymowy na inny, który do dziś dnia utrzymuje się u Ormian. Oczywiście w języku ormiańskim zaszły w ciągu tych co najmniej piętnastu wieków, odkąd go znamy, bardzo liczne zmiany fonetyczne, taksamo jak z drugiej strony uległy im wszystkie inne języki indoeuropejskie, jest to bowiem nieodłączne od trwania języków żywych. Ale przez cały ten czas, zmiany dokonywały się z obu stron konsekwentnie po linii odmiennych tendencji artykulacyjnych, t. zn. że ta wielka przesuwka dźwiękowa, jaką zastajemy w języku ormiańskim u progu jego dziejów literackich, nie była jakimś indywidualnie zabarwionem ogniwnem w nieprzerwanym łańcuchu naturalnego rozwoju języka indoeuropejskiego, ale była skutkiem nagłej zmiany, spowodowanej wytrąceniem rozwijającego się normalnie po linii swych tendencji języka indoeuropejskiego i przeniesieniem go na ludność, posiadającą wybitnie odmienny typ artykulacyjny, który był jej właściwy przed przyjęciem obcego sobie języka, a który ona już po przyjęciu tegoż dalej utrzymała. Dodajmy, że po takim przeniesieniu na obce podłoże etniczne następuje z zasady szybszy rozwój języka, t. zn. że szybko zmienia się jego typ już nie tylko artykulacyjny, ale morfologiczno-składniowy. Dzieje się to raz dlatego, że w dobie nieuniknionego zamętu językowego, jaki takiej wielkiej zmianie towarzyszy, brak jest poczucia jakiejś normy uznanej, któraby wszelkie łatwo szerzące się modyfikacje i innowacje indywidualne utrzymywała w korbach; powtóre zaś dlatego, że przyspieszony naturalny rozwój fonetyczny, zwłaszcza, jak w wypadku języka

ormiańskiego, połączony ze zmianą przycisku, przyspiesza zacieranie się jednostek morfologicznych i stosunków składniowych, przez co zmienia się ogólne oblicze języka. Oczywiście ułatwiają tę robotę dawniejsze nałogi językowe ludzi przyjmujących język nowy. Tak się też stało w języku ormiańskim: rozwój jego potoczył się na nowym podłożu bardzo szybko i już w czasie pierwszego pojawienia się na widowni literackiej, t. j. w początku V a może nawet w IV w. po Chr., język ormiański należy do najbardziej zmienionych w rodzinie indoeuropejskiej.

Tu możemy przejść do języków germańskich. Język pragermański t. zn. ten (oczywiście już nieistniejący) z którego się z biegiem czasu w drodze rozwoju i różniczkowania wyodrębniły wszystkie późniejsze i dzisiejsze języki germańskie, uległ równie głęboko sięgającym zmianom typu artykulacyjnego, jak ormiański. Najbliższe pragermańskiego, a najstarsze ze znanych nam języki germańskie z IV w. po Chr. postąpiły w tych zmianach nawet już dalej. Z przesuwką typu artykulacyjnego, w połączeniu ze zmianą akcentu, poszedł dalszy rozwój na innych polach tak szybko, że języki germańskie razem z najkonserwatywniejszym wśród nich niemieckim, nie tylko, jak ormiański, na całej linii najdalej od typu indoeuropejskiego odbiegły, ale że najbardziej wśród nich zaawansowane, t. j. duński, a zwłaszcza angielski, już dziś stanowią typ najzupełniej od indoeuropejskiego różny. Różni też języki germańskie od indoeuropejskich ten charakterystyczny charkot i bełkot, po którym już zdaleka poznać Niemca czy Anglika; nawiasem mówiąc, w ormiańskim tego niema. Ale ciekawe, że owa podstawowa przesuwka w zakresie dźwięków zwartych, która była bezpośredniem następstwem zmiany typu artykulacyjnego, a której tendencje do dziś dnia w ustach germańskich żyją, jest prawie identyczna z taką przesuwką, która tę samą rolę odegrała w języku ormiańskim. Sama przesuwka germańska znana była uczonym od stu lat, stanowi nawet jedną z najpierwszych zdobyczy językoznawstwa porównawczego (odkrył ją Duńczyk Rask, 1818), jednakże analogję z językiem ormiańskim wykazał szczegółowo dopiero znakomity uczony francuski, prof. Meillet, pod koniec zeszłego stulecia (*Mémoires de la Société de Linguistique*, tom VII). Dziś analogja ta nie ulega wątpliwości. Ale czem ją tłumaczyć? Związku bezpośredniego niema. Zdawałoby się rzeczą najprostszą uznać, że skoro przyczyną takichże zmian i takichże skutków tych zmian w języku ormiańskim jest fakt przyjęcia go przez ludność nie-indoeuropejską, toć i z językami germańskimi musi się sprawa mieć taksamo. Ale ten wniosek był niemożliwy w wieku XIX. Nawet najbezstronniejsi z uczonych niemieckich, ję-

zykoznawcy którzy w badaniach swoich tylko naukę mieli na względzie, byli po za nią ludźmi i Niemcami. Dokoła nich rosło i potęgniało państwo niemieckie. Uczucia patriotyczne narodu wzmagaly się i zaczęły coraz bardziej przybierać formy aż nadto nam znane z dziejów ostatnich lat pięćdziesięciu. Hasło »Deutschland über alles« przechodziło w krew społeczeństwa. Całe wychowanie było na tę nutę nastrojone. Zaczęły się coraz bujniej krzewić i coraz głośniej rozlegać owe idee scharakteryzowane na wstępie. Musiał ich wpływ być silniejszy niż to sobie wyobrażamy, skoro potrafiły podbić nawet takich ludzi (jak prof. Schroeder), którzy lat temu sto byłiby typowymi przedstawicielami owego z książek już tylko znanego idealizmu niemieckiego. Wszystko to składało się na stan uczuciowy, w którym niepodobniństwem było zawrócić z wytyczonych kierunków badania i, przyjrawszy się wyraźniej przesłankom, zobaczyć nagle paradoksalny wniosek, że ci Germanie, których najgłębsze przekonanie kazało uważać za urodzonych wodzów i prawych przywódców ludów indoeuropejskich, są zgoła obcą rasą, której język indoeuropejski został na kilka wieków przed Chr. narzucony. Powtarzam: wniosek taki był w Niemczech niemożliwy, a językoznawstwo niemieckie dominowało w całej rzeczypospolitej uczonej¹⁾. Przypuszczało się więc dalej po staremu, że rozwój języków germańskich odbywał się normalnie i bez przerwy w związku z tem samym podłożem etnicznym, a wpływów obcych dochodzono raczej właśnie w innych językach indoeuropejskich, poza germańskimi, co się zdawało tem słuszniejsze, że wlywy takie istotnie były i nikt im ani dziś nie będzie przeczył. W pierwszym dziesięcioleciu wieku bieżącego odezwało się jednak parę głosów, poza Niemcami, że przecież najnaturalniejszym wyjściem jest przyjęcie silnego wpływu albo nawet w całości podłoża obcego. Głosy zresztą dość słabe. Nawet prof. Meillet, który wrócił do analogji z ormiańszczyzną, rozpatrując sprawę

¹⁾ Ascoli, w pomienionej rozprawie, poświęconej właśnie zagadnieniu wpływów etnicznych na język, tak się nawiasem wyraża w sprawie przesuwki germańskiej: *La stessa lautverschiebung, piuttosto che una vera innovazione, può dirsi, con linguaggio musicale, un trasporto che non turba l'armonia* (op. cit. 51/52). Naturalnie, porównanie to nic nie mówi i nie wyjaśnia. *Comparaison n'est pas raison*. Pokazuje tylko, że nawet Włoch (tak, właściwie, to Żyd austrjacko-włoski z Gorycji) i uczoney bardzo samodzielny nie mógł się otrząść z dogmatu germańskiego. Niemieccy uczeni wprost omawiają »die germanische und deutsche Lautverschiebung als ein bewundernswertes Denkmal germanischer und deutscher Kraft des Vorsatzes«, Finck, *Der Sprachunterricht im Dienste der Geistesbildung, Neue Bahnen IX, 7, Wiesbaden 1900, str. 411*. Wybrałem umyślnie językoznawcę o niezwykle szerokim horyzoncie naukowym; powołuje się on w miejscu przytoczonym na innych, Anglika i dwóch Niemców, bardzo wybitnych uczonych.

w osobnym rozdziale książki *Les dialectes indo-européens* (Paris 1908), nie położył na nią zdecydowanego nacisku. Uczynił to dopiero uczoney niemiecki, Sigmund Feist, świadomie i otwarcie podejmując wyzwanie ciskane nauce coraz hałaśliwiej przez szowinistycznych publicystów i starożytników z Kossinną na czele ¹⁾. Wywód Feista, przedstawiony w bardzo obszernej broszurze p. t. *Indogermanen und Germanen* (Halle 1914) ²⁾, jest językowy i starożytniczy; cenny zwłaszcza drugi, bo w pierwszym autor sprawę trochę pogmatwał i zapuścił się w kombinacje nie zawsze pewne. Ze stanowiska językowego oświetla zagadnienie raz jeszcze Meillet, krótko ale przejrzysto i doskonale, w świeżej książce *Caracteres généraux des langues germaniques* (Paris 1917).

Strona językowa tej sprawy (a nas tu ona zajmuje) jest istotnie zasadniczo jasna. Rodzina języków indoeuropejskich jest ogromnie liczna i rozległa. Z małych początków urosła tak, że ogarnia dziś większą część kuli ziemskiej i o wiele ponad połowę zaludnienia. Należą do niej prawie wszystkie języki europejskie (pominąwszy nieznaczną liczebnie rodzinę ugro-fińską oraz parę innych szczątków i ułamków), a w Azji, obok mniej ważnych lub licznych, cała mnogość języków irańskich, zwłaszcza zaś indyjskich. Jeżeli pozostawimy na uboczu niektóre wyjątki (o których niżej słówko), to całe to olbrzymie mnóstwo języków wygasłych i żywych, bez porównania najobfitszy obraz różnorodności językowej w rozwoju dziejowym, podzieli się na dwa zasadnicze typy artykulacyjne: jeden, języki germańskie — drugi, wszystkie inne, przemnogie i przeróżne. Zmiana typu artykulacyjnego nie da się pojąć jako ogniwo naturalnego rozwoju języka w ustach wciąż tej samej masy etnicznej. Zdawali sobie z tego sprawę, jak powiada p. Feist, nawet niektórzy prehistorycy, dla których indoeuropejskość Germanów była nienaruszalnym dogmatem. »Um die Schwierigkeit aus dem Weg zu raumen, halfen sie sich mit der für einen ernsthaften Sprachforscher geradezu grotesken Annahme, das Germanische bewahre den ursprünglichen Zustand und die übrigen indogermanischen (= indoeuropejskie) Sprachen seien seine Zerfallprodukte«. (op. cit. str. 25). Istotnie byłoby w takim razie rzeczą niepojętą, skąd się bierze ta zgodność wszystkich innych języków w przeciwstawieniu do germańskich, zwłaszcza, że przesuwka germańska nie jest zjawiskiem tak znowu sta-

¹⁾ »damit die Ergebnisse der ernsthaften Wissenschaft nicht gegenüber dem marktschreierischen Treiben in den Hintergrund geraten«, powiada na str. 1/2 rozprawy przytoczonej w następnym zdaniu tekstu.

²⁾ W uzupełnieniu wielkiego dzieła *Kultur, Ausbreitung und Herkunft der Indogermanen* (Berlin 1913).

rem; ściśle się ona jeszcze datować nie da, ale w tem zgadzają się uczeni, że zaszła w pierwszym tysiącleciu przed Chr., może w VII w., może w V, a może jeszcze później, a więc w czasie kiedy pozostałe języki dawno już wiodą byt odrębny, niektóre z nich mają nawet za sobą długi rozwój literacki, inne znane już są z krótkich zapisek, imion własnych itp. A tu i owe wyjątki, o których parę zdań wyżej wspomniałem, świadczą przeciw przytoczonemu przypuszczeniu. Wyjątki te, z których jeden — język ormiański — poznaliśmy bliżej, to są właśnie języki o typie artykulacyjnym zmienionym pod wpływem obcego podłoża etnicznego. To samo musi się tyczyć Germanów. Język pragermański, z którego rozwinęły się z czasem języki germańskie, był to język indoeuropejski, narzucony przez jakichś zdobywców ludowi obcemu, nieindoeuropejskiemu, który aż do owej pory mówił językiem innym, nieindoeuropejskim ¹⁾. Od chwili owego narzucenia zaczyna się szybki rozwój, który tak bardzo oddalił języki germańskie od typu indoeuropejskiego. Kiedy się to narzucenie dokonało, ściśle powiedzieć nie można, datą jego bowiem jest oczywiście data przesuwki dźwiękowej germańskiej, dotąd, jak wspomniałem, dokładnie oznaczyć się nie dająca. Również nie da się jeszcze powiedzieć, jakie to wojownicze plemię indoeuropejskie podbiło wówczas Germanów i narzuciwszy im swój język, rozplynęło się — samo nieliczne — w podbitej masie. Przypuszczenia dotąd wypowiedziane są niepewne. Zresztą są to szczegóły, o które nam w danej chwili nie idzie. To pewna, że zmiana języka nie jest u Germanów czemś niezwykłym. Byli oni, odkąd nam znani, ludem bardzo niespokojnego ducha. Od Cymbrów i Teutonów począwszy, wszyscy ci Goci, Wandale, Kwadowie, Herule czy Cheruscy, wszyscy ci Swewowie, Burgundzi, Frankowie, ci Sasi, Anglowie, Juci i Duńczycy, wikingowie skandynawscy, Niemcy i Szwedzi, puszczały zaborne zagony na cztery strony świata, a najenergiczniejsza odmiana Germanów, Anglicy otworzyli temu niepohamowanemu żywiołowi wszystkie lądy i morza. Gdzie byli bliżej ośrodka swej rasy i sami panowali, tam narzucali swój język ludom obcym, jak Słowianom, Prusom czy Celtom brytyjskim. Gdzie jako najeźdźcy lub osiedleńcy dostawali się pod obce rządy, tam i języka się wyzbywali, jak Frankowie, Waregowie albo Normanie. Tylko że wszystkie te historycznie nam znane zmiany odbywały się na mniejszą skalę i w sil-

¹⁾ Z tego pre-germańskiego języka zachowało się w językach germańskich dużo wyrazów, podobnie jak się to zawsze dzieje przy zmianie języka, zależnie od okoliczności w większych lub mniejszych rozmiarach, więc jak np. wyrazy celtyckie zachowały się w języku francuskim, t. j. w łacinie przyjętej przez celtyckich niegdyś mieszkańców Francji.

nem pomieszaniu z ludami obcemi. Tamta pierwsza, największa, dokonała się w zwartej masie etnicznej i dlatego miała skutki tak doniosłe.

Rezultat powyższy, uzyskany w drodze rozważań faktów językowych, popierają świadectwa dostarczane przez naukę starożytniczą. Tu ich roztrząsać nie będę; kto ciekaw, niech zajrzy do Feista. Powiem tylko, że wszystko wskazuje, iż Germanie, ów lud — ogółem biorąc — słuszny, jasnowłosy i niebieskooki, byli autochtonami w środkowo-północnej Europie, gdzie ich zastaje świt ich historii. Ponieważ zaś pośród ludów, mówiących językami indoeuropejskimi, nie było i niema tego swoiście germańskiego typu słusznych i niebieskookich blondynów (choć był podobny), przeto kolebka tych ludów nie mogła leżeć w ziemi od dawna przez typ germański zamieszkaną. A stąd znów poprzedni wniosek, że Germanie nie są Indoeuropejczykami. Do tego samego prowadzi wreszcie i t. zw. paleontologia językowa, t. j. ten dział językoznawstwa, który na podstawie roztrząsania danych językowych snuje wnioski o sposobie życia i stopniu kultury ludów danymi językami niegdyś mówiących. I tu oczywiście muszę powstrzymać się od przytaczania szczegółów. Warto wszakże zaznaczyć, że, jak trafnie wywodzi p. Feist, Germanie już w czasach przedhistorycznych byli ludem wybitnie żeglarskim, mieszkającym nad morzem, a nieumiejącym zażywać konia. Takimi, jak wiadomo, pozostali zawsze i to ich różni ogromnie od wszystkich innych ludów indoeuropejskich, których wspólna ojczyzna (dotąd ściśle nieoznaczona) musiała leżeć na wielkich przestrzeniach śródlądowych, bo jak zgodnie świadczą dane językowe i historyczne, z morzem oswajały się te ludy późno i bez zapału, wszystkie natomiast były odwiecznie pierwszorzędnymi koniarzami; obie właściwości polskie. — Tyle o najnowszych zapatrywaniach na odrębność etniczną Germanów od innych ludów indoeuropejskich.

Tu powiedzieć może czytelnik: no, dobrze, wywód niewątpliwie ciekawy i jeżeli się ostoi, to rzuci dużo światła także i na takie sprawy, o których się w artykule językoznawczym milczy, chociażby na rdzeń naszego stosunku do Niemców i ten sentyment, którym ich darzymy. Ale co to wszystko razem ma do starożytności polszczyzny?

A oto co.

Z uwag powyższych widać, że my już dzisiaj wiemy wcale dobrze, jaki typ artykulacyjny przedstawiał ów prajęzyk indoeuropejski, który w ciągu kilku tysiącleci różniczkował się i rozszczępił na całe mnóstwo historycznie nam znanych języków i gwar. Wiemy dość dokładnie, jakim ów prajęzyk rozporządzał zapasem dźwięków,

jak się te dźwięki tworzyły, jaką była natura akcentu, który nad nimi panował, i na jakie zgłoski jaki akcent padał. Ale na tem nie koniec. Po stu latach żmudnej i płodnej pracy uczeni językoznawcy umieją sobie dzisiaj niezgorzej wytworzyć plan owego prajęzyka, t. zn. wiedzą, jak on w ogólnych zarysach wyglądał, jak mówiący nim praojcowie nasi reagowali na obrazy, które świat zewnętrzny umysłom ich narzucał, w jaki sposób rozkładali takie obrazy na szeregi wyobrażeń i w jakim wzajemnym stosunku, przy użyciu jakich środków formalnych wyrażali takie szeregi wyobrażeń i skojarzonych z nimi stanów uczuciowych z pomocą elementów mowy. Umieemy nawet te ogólne zarysy wypełnić wielu szczegółami, choć wiemy doskonale, że z rozwojem nauki niejedno się w nich jeszcze zmieni. Jednem słowem, zdajemy sobie dzisiaj sprawę, jakim był ogólny typ prajęzyka indoeuropejskiego, t. j. jak się naogół przedstawiał ten zespół właściwości, który stanowi o indywidualności typu indoeuropejskiego wobec typów odrębnych, jak np. semicki, albo uralo-ałtajski, albo indochiński czy jeszcze inny. Właśnie dlatego, że ten typ znany jest w swojej istocie i w swoich tendencjach rozwojowych, dało się (pokonawszy wyłuszczone przeszkody) stwierdzić, że języki germańskie są wynikiem zaszczerpienia pewnej postaci języka indoeuropejskiego wśród ludu, który aż po ową chwilę używał języka o typie odmiennym, właściwym obcej ogółowi Indoeuropejczyków grupie etnicznej, którą tworzył. Otóż różne języki indoeuropejskie — gałąź indyjska, irańska, grecka, italska, celtycka i inne — w różnym stopniu zachowały ogólny rodzinny typ językowy, który panował w czasie, kiedy języki te były zaledwie słabo rysującami się gwarami jednego wspólnego języka, prajęzyka indoeuropejskiego. Każda bowiem z tych gałęzi nie tylko że w różnym stopniu zetknęła się z obcemi etnicznie żywiołami, ale i ludy mówiące każdym z tych języków rozwijały się wśród rozmaitych, nieraz najzupełniej odmiennych warunków historyczno-społecznych, wywierających przecie zawsze olbrzymi wpływ na psychikę, a przeto pośrednio i na język, który jest w zasadzie odbiciem psychiki w mowie artykułowanej.

Tak np. szczepy, które zajęły i podbiły Indje, zetknęły się tam z bardzo silną masą tubylców, obcych rasą, językiem i kulturą. Zmieszanie zupełne nie nastąpiło, bo wobec wielkiej różnicy etnicznej masy czarnych, płaskonosych tubylców, instynkt samozachowawczy najeźdźców stanął na straży czystości rasy i bronił się bardzo zawzięcie przeciw dopływowi krwi obcej. Niemniej krew ta przesiąkała, szczególnie obficie w niższych warstwach społecznych. Wprawdzie język literacki utrzymywał się przez długi czas w wiel-

kiej czystości (Wedy), ale instynkt samozachowawczy rasy aryjskiej (t. j. tych białych najeźdźców) nakazał ograniczyć wszelką wiedzę i wyższą kulturę literacką do warstw wyższych społecznie a czystszych rasowo. Warstwom niższym i najniższym brakło poparcia i stałej normy językowej w ciężkich czasach zalewu żywiołem etnicznie i językowo obcym, który, choć się asymilował, wnosił z sobą podkład i tendencje różne. Toteż obok języka literackiego, który przez dłuższy czas był jeszcze językiem naprawdę żywym, zaczęły się rychło wytwarzać języki ludowe, od typu indoeuropejskiego dosyć odbiegające, z kolei wyparły one z użycia żywego czysty typ językowy aryjski, ograniczając go — i to w zmienionej postaci — do wyższej literatury (sanskryt). Tem się niewątpliwie tłumaczy, że w czasie, kiedy w sąsiednim Iranie był jeszcze w powszechnem użyciu język bardzo zbliżony do wedyjskiego, w samych Indiach już pospółstwo mówiło narzeczami mocno w rozwoju zaawansowanemi. — A przyszła kolej i na Iran. Aż do upadku Sasanidów w połowie VII w. po Chr. mówiło się tam i pisało językiem średnioperskim, który oczywiście w drodze naturalnego rozwoju już był daleko postąpił, ale jeszcze bardzo wyraźnie nosił znamiona typu indoeuropejskiego. Ale wówczas zwałł się na Iran przewrót polityczno-społeczny tak wielki, jakiego dotąd nie zaznały burzliwe jego dzieje. Nastąpił zalew arabski, zaczęło się wrażanie ludowi nowych pojęć na modłę mahometańską, t. j. ogniem i mieczem. Długa doba zamętu, w której językowi zabrakło wszelkiej normy. Wiek X zastał społeczeństwo odrodzone, ale zmienione. Wynurzył się na widownię język nowoperski, który wstępny bojem zdobył wszystkie stopnie wiodące na Parnas, aż do szczytów, ale jest to jeden z języków najdalej odbiegłych od typu indoeuropejskiego. — W Grecji znowuż zdobywcy indoeuropejscy w drugim tysiącleciu przed Chr. zastali ludność obcą, twórczynię wysokiej kultury śródziemnomorskiej. Zasymilowali ją narodowo i językowo, narzucili przewagę swej umysłowości. Ale językowi przejścia te nie uszły bezkarnie. Przejął od ludności tubylczej wielką ilość wyrazów, w których widać nawet szereg odrębnych elementów morfologicznych (sufiksy), co więcej zaś, zmienił poniekąd indoeuropejski sposób wyrażania stosunków składniowych (t. j. analizowania wyobrażeń złożonych i uwydatniania tej analizy w syntezie zdania), redukując liczbę przypadków i zastępując brakujące innemi środkami. — A czyż trzeba przypominać dalsze losy greki, kiedy pod wpływem tworzącej się kultury hellenistycznej zaczęły się zacierać różnice gwarowe, albo też przypominać odwrotne zjawisko w Italji, kiedy po upadku jedności państwowej rzymskiej zaczęły się na szachownicy odrębnych ple-

mion italskich wyłaniać bardzo odrębne narzecza romańskie, długo (poniekąd po dziś dzień) pędzące osobny żywot nawet piśmienniczy i z oporem ustępujące jednoczącym wpływom przemożnej gwary tokańskiej? — Albo wreszcie przypominać taką Francję? Ileż tam przesunięć językowych! Naprzód tubyleza ludność nie-indoeuropejska. Potem najeźdźcy celtycy, którzy zasymilowali poprzedników. Potem legjoniści Cezara i osiedleńcy rzymscy, którzy zromanizowali Celtów. A potem długi, długi szereg najeźdźców germańskich, pomijając incydent z Atylą. Każdy taki przewrót w czasach, kiedy nie było ani kultury literackiej (poza łacińską, sztuczną i ograniczoną) ani silnej świadomości jednoty narodowej, to coraz to nowe pchnięcie oddalające język od pierwotnego typu. A przytem powszechny zamęt sprzyjał i naturalnemu rozwojowi. W rezultacie mamy dzisiejszą francuszczyznę, której typ »analityczny« bardzo odbiega od pierwotnego typu języków indoeuropejskich.

Jednem słowem, im większa jest w pewnym ludzie przymieszka żywiołów etnicznie obcych, różnym sposobem myślenia i mówienia, im bardziej lud ten, pod wpływem warunków historyczno-społecznych, narażony jest na przewroty w zakresie psychiki, t. j. zespołu reakcyj uczuciowo-umysłowych na otaczające zjawiska, tem dalej język tego ludu odbiega od typu, jaki przedstawiał pierwotnie, czyli tem więcej traci ze swej starożytności. I naodwrot: im się dany lud uchował czystej i żył spokojniej, a kiedy nadeszły czasy przewrótów i klęsk politycznych, miał już pewną uznaną normę językową i poczucie jedności narodowej, tem język jego będzie wierniejszym obrazem pierwotnego typu, czyli, tem będzie w porównaniu z innymi pokrewnymi językami, starożytniejszy. Otóż w tem znaczeniu najstarożytniejsze są dzisiaj w rodzinie indoeuropejskiej języki słowiańskie i t. z w. bałtyckie t. zn. łotewski, zwłaszcza zaś litewski. O tem, że języki te są starożytne, wiedzą uczeni — rzecz jasna — od dawna. Ale nie bardzo się zastanawiali dlaczego, a przyciśnięci, dawali tautologiczne wyjaśnienie, powiadając, że mówią niemi ludy bardzo konserwatywne. Dlaczego — na to i my dziś nie bardzo potrafimy odpowiedzieć. Bo na to trzeba by znaleźć klucz ustosunkowania nadzwyczaj złożonego zespołu czynności psychicznych, innymi słowy, umieć we wszystkich szczegółach wytłumaczyć zjawisko indywidualności, a tego dziś jeszcze nauka nie umie. Ale może ona podać przyczyny najważniejszych cech indywidualnych. I jeżeli idzie o starożytność języków słowiańskich i bałtyckich, to naprawdę warto było rozwieść się nad faktem świeżej detronizacji języków germańskich, bo nam on pozwala z o wiele większą pewnością podnieść dwie takie przyczyny, bardzo ważne,

bodaj najważniejsze. Jedna to ta, że ludy mówiące temi językami, o wyglądzie tak starożytnym, musiały wchłonąć najmniej żywiołu etnicznie obcego, a o ile go wchłonęły, to żywioł ten był widać etnicznie i językowo dosyć »kongenjalny«¹⁾. A druga przyczyna ta, że ludy te, w dobie słabszej jeszcze odporności językowej, najmniej stosunkowo musiały być narażone na wielkie przewroty dziejowo-społeczne, a przeto też najmniej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, oddaliły się od pierwotnej wspólnej kolebki późniejszych języków indoeuropejskich, ściślej zaś mówiąc od kąta, który w owej kolebce zajmowały. Istotnie bowiem nie tylko system artykulacyjno-fonetyczny języków słowiańsko bałtyckich najbardziej zbliża się do praindoeuropejskiego (nie należy tego, co mówię, mieszać ze skojarzeniem systemu fonetycznego z kategorjami morfologicznymi, jakie w pewnym stopniu rozwoju stanowiło bardzo wybitną cechę indywidualną prajęzyka), ale i system morfologiczno-składniowy (np. przypadki!) najbliższy do prajęzykowego przymyka. Oczywiście zmiany były, nawet duże, dość wspomnieć czasownik, ale niema w nich nic takiego, coby się naogół nie dało wytłumaczyć naturalnym rozwojem języka, odbywającym się po linii tendencyj, jakie można zauważyć już w genetycznie najstarszej jego fazie. Takie są przeto tytuły języków słowiańsko-bałtyckich do starożytności i takie są wnioski ze stwierdzenia starożytności płynące.

Jakże zaś w zakresie samych już tych języków? Czy są tu jakie stopnie? Powiada się naogół, że najstarożytniejszy jest język litewski. Poniekąd, niewątpliwie. Ale słusznie zauważył kiedyś prof. Brückner, że się, tak mówiąc, przesadza. Wygląd starożytny nadaje litewszczyźnie szczególnie ocalenie końcówek imiennych (-as, -is, -us!), pozatem fonetyka litewska nie tak znów wiele pozostała w rozwoju poza słowiańską, w zakresie zaś morfologii innowacje litewskie albo niedużo mniejsze, albo nawet (czasownik!) większe niż słowiańskie. A wewnątrz samych języków słowiańskich? Tu, osobne poniekąd stanowisko zajmuje język bułgarski, na którym wcale silnie zaznaczył się wpływ domieszki etnicznej bardzo energicznych Turków nadwołżańskich, nie mówiąc o innych wpływach, które wciągnęły go, po części wraz z językiem serbskim, w obręb dość

¹⁾ Mam tu oczywiście na myśli żywioł ugrofiński. Sprawa jest jeszcze bardzo niejasna: Tyle wszakże można powiedzieć, że języki ugrofińskie albo wprost są z indoeuropejskimi spokrewnione, t. j. tworzyły niegdyś jedność, albo też — ale to już napewno — stoją na pograniczu rodziny indoeuropejskiej a uralo-ałtajskiej, do której je się zalicza. Na czem polegałaby przyczyna takiego ich stanowiska, to się w tej chwili powiedzieć nie da. Nie wyszliśmy poza przypuszczenia, nie opracowane w szczegółach.

odrębnej indywidualności językowej »bałkańskiej«. Także i czeski język uległ ogromnemu wpływowi niemiecczyny. Wprawdzie fonetycznie prezentuje się on wcale dobrze (tylko akcent germański!), ale cóż z tego, kiedy przejawiający się w systemie morfologiczno-składniowym sposób myślenia jest nieomal do cna zniemczony. Przecież nie umiając dobrze po niemiecku, Słowianin nieraz się nie połapie, co też taki lub owy zwrot czy wyrażenie czeskie znaczą. Wcale nie ratują sytuacji tego rodzaju nieprzeliczone falsyfikaty słowiańskie jak *knihotiskárna* = *buchdruckerei*, bo to są tylko listki figowe — wiadomo, co za nimi. Z pozostałych języków słowiańskich każdy ma oczywiście swe piętno indywidualne i każdy innym wpływom ulegał. Ale trudno rozstrzygnąć, który zasługuje na palmę starożytności. Rosyjski? Chyba nie, boć jego jednolitość jest tylko pozorna. Wpływ języka cerkiewno-słowiańskiego, acz blisko pokrewnego, równie silnie — jeżeli nie silniej — wytrącił język rosyjski z drogi niezmaconego rozwoju, jak wpływ łaciny (poniekąd i niemieckiego) polszczyznę. Możliwy byłoby się zwrócić z tą palmą do gwar ludowych, ale i o tych tyle tylko da się na ich korzyść powiedzieć, że jeśli naogół mają może wygląd starożytniejszy czy raczej jednolitszy niż język literacki, to tylko dlatego, że nie ulegały wpływom wyższej kultury obcojęzykowej; pozatem, owszem, brakło im nawet tego wędzidla konserwatywnego, jakim jest ciągle obcowanie z szerokimi kołami społeczeństwa i jakim jest zwłaszcza dla systemu fonetycznego pamięć obrazów wzrokowych (pismo!). Zresztą byłoby wogóle płonnem staraniem gdzieś taką palmę bezwzględniego pierwszeństwa lokować; przecież starożytność języka nie jest ani zasługą ani zaszczytem, tylko poprostu cechą indywidualną, pozwalającą na pewne wnioski — ważne i ciekawe — o przeszłości języka i ludu. Cecha ta jest złożona, więc jakichś ciasnych granic obejmować nie może.

Raczej na zakończenie zapytajmy — i odpowiedzmy — czy też taka starożytność języka nie jest sama w sobie dowodem zacofania kulturalnego, skoro przecie z postępowaniem kultury język się zmienia, a narody, które w tym postępie przodują, mają języki najbardziej od pierwotnego typu indoeuropejskiego oddalone? Odpowiedź brzmi krótko i stanowczo: nie. Temat to odrębny i z artykułem niniejszym bezpośrednio się nie wiąże. Dlatego nie mogę go szerzej rozwijać. Powiem tylko jaknajkrócej, jakie są zasady rozwoju języka i jaką w nim rolę grają wpływy kulturalne. — Język, jako forma, jest z treścią psychiczną związany nierozłącznie mocą nieprzerwanego współistnienia i współzależności, ale nie mocą jakiejś transcendentalnej konieczności. Język, jako forma, jest zawsze

zasadniczo wiernem odbiciem skojarzonej z nim indywidualnej treści psychicznej, bowiem od początku — dokładniej: bez początku — rozwija się w tych samych co ona warunkach zewnętrznych, choć działających w częściowo innym układzie i stopniu natężenia. Ale też właśnie jako forma, t. j. materja kostniejąca, nie żywa, przystaje język stale poza wiecznie żywą i ruchliwą treścią. Treść prze zawsze do jaknajwierniejszego uplastycznienia formy swojej, ale forma co chwila krzepnie, i gdyby jej treść nieustannie do wywodów swoich nie naginała, skrzeplaby do cna i raz na zawsze, jak te języki martwe — mumje, maski, ale nie oblicza — za którymi niema już treści żywej, bo póty je siłą utrzymywano w niezmiennym stanie, aż się na całej linii zerwał związek z żywą psychiką, a potomne wieki podsuwają już tylko sztucznie i niedokładnie jakąś treść pół-własną a pół-ożywioną tchnieniem papierowej tradycji. Na tym właśnie stosunku żywej treści do kostniejącej po każdej zmianie i przed każdą zmianą formy polega nieunikniona konieczność rozwoju języka. Gdyby się treść psychiczna bez przerwy nie zmieniała i człowiek nie czuł konieczności wyrażania jej inaczej, niż przed chwilą — niż wczoraj — rok temu — przed laty, wówczas i wszelka forma, w tym wypadku język, nie ulegałaby żadnym zmianom, żadnemu rozwojowi. Ale ta konieczność istnieje, a nawet doprowadziłaby ona w krótkim czasie do wytworzenia tylu języków, jeden drugiemu niezrozumiałych, ile jest jednostek psychicznych, gdyby nie to, że człowiek jest nie tylko jednostką, ale w zupełnie równej mierze członkiem społeczeństwa. Ta dwoistość natury ludzkiej rozstrzyga o tempie rozwoju języka i o przestrzennych rozmiarach zmian. Konieczność indywidualna działa odśrodkowo (przykład: wybitni pisarze!), społeczna — dośrodkowo. Człowiek nie tylko zmuszony jest z podobnymi sobie obcować, ale przez obcowanie ma ogromnie wiele wspólnej z nimi treści psychicznej. Tem więcej, im bliższe są wspólne warunki, w jakich żyje i wpływy, jakim ulega. A warunki i wpływy to bardzo różnorakie: rodzinne, zawodowe, szczepowe, społeczne, narodowe, kulturalne. Wszystkie one działają hamująco na formę, każą jej na ogół dłużej trwać w skostnieniu, niżby wytrwała bez nich. Zmuszają do ciągłego podstawiania nowej treści pod skrzeplę ułamki i skostniałe rozwidlenia formy, podstawiania nieuniknionego, jeżeli się ludzie wogóle mają porozumiewać. Ileż to razy widzimy, że dwaj — powiedzmy np. — Polacy, o ile nie obcują stale, albo zgoła należą do dwóch odrębnych kół społecznych, podkładają inną treść pod te same wyrazy, t. j. fragmenty formy. Trzeba dopiero bliższych wyjaśnień, żeby się dogadali. A cóż dopiero, gdyby forma, nie będąc z istoty

swej rzeczą martwą, dotrzymywała we wszystkim i odrazu kroku rozwojowi żywej treści! Ludzie przestaliby się rozumieć. I właśnie na tem, że forma może przez pewien czas w stanie skostniałym przystawać za treścią, zwłaszcza dźwiękowa i morfologiczna, daleko trudniej składniowa, nie przestając mimo to wyrażać jej w mierze wystarczającej dla potrzeb społecznych, polega możliwość przyjmowania przez dany lud wpływów kulturalnych, wytworzonych i szerzonych przez lud inny, obco-językowy, więc np. przyjęcie kultury t. zw. klasycznej, t. j. grecko-rzymskiej, a raczej kultury klasyczno-chrześcijańskiej, przez Polaków. Niewątpliwie język polski, formalnie wzięty, ściślej odpowiadał treści psychicznej polskiej lat temu tysiąc, niż dzisiaj, bo przez dłuższy czas był z nią w związku współzależności bez silniejszych wpływów obcych na jedno z dwojga. Ale ściślej, to jeszcze nie znaczy lepiej — ani gorzej. Poprostu inaczej. Mianowicie pod wpływem kultury zachodniej nastąpiło na większą skalę podstawianie nowej treści pod kostniejącą w pewnych kształtach formę językową. Właśnie dlatego, że forma, wciąż krzepnąca, z natury rzeczy musi przystawać za treścią — właśnie dlatego i może. A że na mocy nieprzerwanego współlistnienia wciąż żywej treści i wciąż krzepnącej a modyfikowanej formy nie nastąpiło nigdy, ani na chwilę, zerwanie całości korelacji skojarzeniowej między obojgiem, tylko następowało (pod wpływem krzyżującego się nieustannie działania czynników indywidualizujących jednostkowych i normujących społecznych) ciągle przemieszczanie skojarzeń, ciągle podsuwanie nowej treści pod falującą mozaiką formy tu dawno skrzepłej, tam krzepniejącej, ówdzie świeżej »jak ulanej«, a jeszcze gdzieindziej odczuwanej jako zupełnie już niezgodna i z mozołem dostosowywanej, ciągle rwanie się jednych nitek na okrainach świadomości i pamięci, a nawiązywanie mocnych nowych w ognisku; przez to wszystko nie nastąpiła nigdy ani luka w rozwoju, ani poczucie nieodpowiedniości języka jako wyraziciela przejmowanej od obcych kultury; tyle że w początkach szło trochę oporem dostosowywanie go do rozszerzonej i pogłębionej treści. Aleśmy tę kulturę zachodnią owszem przyjęli, nad jej rozkwitem współpracowali, wycisnęli na niej w granicach narodu i wpływu polskiego własne, silne piętno i tylko język polski, zachowując wygląd starożytny, nabrał cech swoistych, zapewniających mu wśród języków tej kuli ziemskiej odrębną indywidualność i — niepoślednie miejsce.

Andrzej Gawroński.

Różnorakie etymologie.

I.

Niedostateczna znajomość literatury przedmiotu stanowiła zawsze moją słabą stronę. Tem bardziej musiało się to uwydatnić w ostatnich latach, w latach wojny i przymusowego przebywania w okropnych warunkach życia petersburskiego czyli, według najnowszej terminologii »patryjotycznej«, petrogradzkiego, kiedy to, z jednej strony, było się całkiem odciętym od świata, z drugiej zaś strony, na podobieństwo *mutum et turpe pecus*, marzyło się tylko o strawie i o śmietniku, na którym można ją znaleźć. Wobec tego obawiam się, że będę się popisował odkryciami, dawno już dokonanymi, a odkrywanie Ameryki należy do zajęć smutnych i jałowych. Nie ulega wątpliwości, że dla prawdziwych językoznawców moje wywody nie będą zawierały nic nowego. Oby przynajmniej były one choć względną nowością dla poczynających i dyletantów!

W artykułkach pod podanym w nagłówku tytułem chciałym poruszać kwestje rozmaitych rodzajów t. zw. etymologii, t. j. zestawień wyrazów, dokładniej mówiąc, morfem pod względem ich »pokrewieństw« współczesnego i historycznego, zarówno ze strony zmysłowej, wymawianiowo-słuchowej (fonetyczno-akustycznej), jako też ze strony skojarzeń z wyobrażeniami pozajęzykowymi, ze strony znaczeniowej, semantycznej, semazjologicznej.

Niestety, przeważna część zebranych przeze mnie a odnoszących się do tej kwestji materiałów, wraz ze wszystkimi prawie mojami książkami i rękopisami, musiała pozostać w Petersburgu i nie wiem, czy je kiedykolwiek zobaczę. Z konieczności więc ograniczam się tylko na cząstce tych materiałów, po większej części odtworzonej z pamięci. Przebywając w danej chwili w Lublinie, nie mogę korzystać z żadnej biblioteki, mieszczącej w sobie najnowsze dzieła i czasopisma z dziedziny językonawstwa. Nie mówiąc już o wszechświatowej literaturze lingwistycznej, nie mogę nawet sprawdzić, czy lingwiści i filolodzy polscy nie rozwiązywali już w ten lub ów sposób kwestyj, które ja mam tu zamiar poruszać. Ponieważ w Lublinie ani w bibliotece uniwersyteckiej, ani w bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego niema dotychczas »Rozpraw Akademji Umiejętności«, więc nie mogę nawet zapoznać się z pracą A. Brücknera »Zasady etymologii słowiańskiej«. Ze względu jednak na metody, stosowane przez tego wielce zasłużonego badacza historii języka polskiego w najrozmaitszych epokach jego istnienia, pozwałam sobie

przypuszczać, że oświetla on »zasady etymologii« w cokolwiek inny sposób, aniżeli ja to uczynić zamierzam.

II.

Tak zwane »etymologie« mogą być bardzo rozmaitego rodzaju, zarówno ze względu na subjeKT uświadomiony i poznający, jako też ze względu na obiekt, t. j. na materiał, poddawany »etymologizowaniu«. Rozmaite traktowanie etymologii zależnie od różnicy obiektu czyli materiału językowego, etymologicznie uświadamianego, zestawianego, badanego i określanego w swych wzajemnych związkach, zostawiam na później. Obecnie zaś mam zamiar zająć się zaznaczeniem i uwydatnieniem różnicy pomiędzy etymologiami myślenia językowego, etymologjami samej funkcji cerebracyjnej (1), a pomiędzy etymologjami myślenia językoznawczego, myślenia lingwistycznego, działającego przy świetle zestawień historyczno-porównawczych (2).

Objektywne myślenie językowe poprostu odbywa się, dokonuje się — mówiąc językiem anatomji i fizjologii — w mózgu; mówiąc zaś językiem psychologii — w duszy, w psyche ludzkiej. Jest to funkcja fizjologiczno-psychiczna tego mniej więcej rodzaju, co funkcje trawienia, oddychania, krążenia krwi i t. p. Myślenie językowe jest tylko pewną odmianą myślenia nieświadomego, podświadomego i półświadomego, ale zawsze mogącego być uświadomionem, jest odmianą właściwej człowiekowi cerebracji wogóle. Jak wszelkie inne odmiany myślenia, tak i myślenie językowe dokonywa się drogą kojarzenia wyobrażeń w najrozmaitszych kierunkach, przy akompanjamentie towarzyszących temu kojarzeniu objawów uczucia i popędów woli. Drogą nieświadomego, podświadomego i półświadomego, ale mogącego być uświadomionem kojarzenia wyobrażeń powstają też w myśleniu językowem rozmaite etymologie czyli związki pokrewieństwa pomiędzy morfemami i całemi wyrazami. Te etymologie są faktami, są realnościami myślenia językowego i one to właśnie decydują o układaniu elementów językowych w pewne grupy i związki i o dalszym przebiegu historii myślenia językowego.

Zadaniem myślenia językoznawczego, myślenia lingwistycznego, w stosunku do etymologii, jest przedewszystkiem całkowite uświadomienie sobie i wszechstronne oświetlenie wszystkich etymologii obiektywnych danego myślenia językowego (1), a następnie zestawianie wydobytych z myślenia językowego etymologii z etymologjami innych stanów językowych, bądź to w porządku chronolo-

gicznym, bądź to w porządku topograficznym (różne języki współcześnie istniejące), bądź też nareszcie w porządku genealogicznym, i w ten sposób określanie, za pomocą metody historyczno-porównawczej, do jakich to ostatecznie początków sprowadzają się obiektywnie zrodzone etymologie myślenia językowego (2).

Inną jest rozkładalność wyrazów na morfemy dalej niepodzielne w myśleniu językowym, a inna dla myślenia językoznawczego. uzbrojonego znajomością historii języka i języków i umiejętnością porównywania różnych stanów językowych.

Dla myślenia językowego morfema *drob-* || *drób...* w wyrazach *drób*, *drob-n-*, *drob-i-...*, morfema *trox-* (*troch*) || *troš-*(*troš-*) w wyrazach *troxa* (*trocha*), *troš-k-a* (*troška*)... jest najprostszym elementem językowym ze stanowiska semazjologiczno-morfologicznego i już się dalej nie rozkłada. Tymczasem myślenie językoznawcze, nawet nie bardzo daleko sięgające, rozkłada te rzekomo nierozkładalne morfemy na dwie, z których jedna kontynuuje dawny rdzeń (*pierwiasiek*, *radia*), a druga przyrostek (sufiks).

Jednolita dla myślenia językowego morfema *drob* || *drób-* rozpada się w świetle myślenia językoznawczego na dwie: *dr-ob*, z których pierwsza przedstawia jedną z odmian alternacyjnych (obocznościowych) rdzenia *dr-*(*drę*) || *dř* (*drze*) || *žer-*(*z-dzier-a*) || *žor-* *žur-*(*dziura*) \Leftarrow **dor...*, druga zaś, *-ob-*, żyje po dziś dzień jako sufix, wyraźnie oddzielany, choć już nie tworczy, nie produkcyjny, w *xor-ob-* (*choroba*), *χud ob-* (*chudoba*), *żał-ob-* (*żałoba*) i t. p.

Jednolita dla myślenia językowego morfema *trox-* || *troš-* rozpada się w świetle myślenia językoznawczego na dwie: *tr-ox-* || *tr-oš-*, z których pierwsza przedstawia jedną z odmian alternacyjnych rdzenia *tr-*(*trę*), *s-tr at-a* || *tr-*(*trze*) || *cer-* (*ściera*, *wyciera*, *zacierki*) || *tor-* *tór-* (*tór*, *zutor*) || *toř-* (*na torze*) || *tar-* (*tarza się*), druga zaś, *-ox-*, jest przeżytkiem sufixu, który, z pewnymi odmianami semazjologicznymi, spotykamy w fem. *mac-ox-* (*macocha*), masc. *šp-ox-* (*špioch*), *łłuść-ox-* (*łłuścioch*)...

Mamy tu do czynienia z życiem. A życie nie stoi na miejscu, do życia przeciwstosuje się orzeczenie Heraklita πάντα ῥεῖ 'wszystko płynie', życie zmienia się, łączy się, oddziela się, rozpada się, jednoczy się... Życie to kolory mieniające się, to widziadła senne. A etymologje, przedstawiające kombinacje takich dwóch arcyzmiennych sfer życia, jak, z jednej strony, elementy wymawianiowo-słuchowe i ich połączenia, z drugiej zaś strony elementy znaczeniowe czyli semazjologiczne języka, muszą z konieczności być widownią zmienności, chwiejności, nieuchwytności stanów przejściowych, dwuznacznych i nieokreślonych.

Często gęsto niepodobna określić na pewno, czy dana etymologia zrodziła się jeszcze w sferze podświadomej myślenia językowego, czy też dało jej początek dopiero myślenie językoznawcze, uzbrojone wiedzą historyczno-porównawczą. Np. wyrazy polskie *obłok*, *obarzaniek* i t. p. mogą być rozłożone na morfemy, z których dwie pierwsze wiążą się 1) z prefiksem *ob-*, 2) z rdzeniami *vłok-* || *vlek-*... i *var-* (*warzyć*, *warzenie*)..., już w myśleniu językowym pewnych osobników, obdarzonych od natury intuicją etymologiczną; dla innych zaś osobników jest to niedostępne za pomocą własnej inicjatywy i musi im być dopiero narzucone za pomocą uświadomienia językoznawczego. Fanatyk uświadomienia, Onufry Kopczyński, płacił chłopcom, roznoszącym po Warszawie obarzanki, ażeby wykrzykiwali nie: »obarzanki piwne!«, ale tylko: »ob**W**arzanki piwne!«

Zmienność i chwiejność w zakresie podzielności wyrazów, stanowiącej punkt wyjścia dla wszelkiego etymologizowania, dochodzi do tego stopnia, że ta sama osoba, pod wpływem różnorodnych okoliczności, bądź to różnego stopnia natężenia umysłu (świeżość umysłu — zmęczenie), bądź też przemijających skojarzeń danej chwili, może podzielić pewien wyraz w rozmaity sposób.

Mogę przytoczyć przykłady tego z własnych wspomnień profesorskich.

Moi słuchacze petersburscy, Rosjanie, wcale nie upośledzeni na umyśle, zapytani o podzielność morfologiczną wyrazu *востокъ* (*vos'tok*) 'wschód', odpowiadali, że rozkłada się on tak: *vos't-ok*, ze rdzeniem *vos't-* i sufiksem *-ok*. Oczywiście odpowiedź tę podsunęło im skojarzenie z *сѣдокъ* (*śe'dok*) 'siadacz, pasażer doróżkarza', *ѣдокъ* (*je'dok*) 'jadacz, zjadacz', przyczem nie uwzględniono różnicy typów deklinacyjnych pod względem przycisku (akcentu): do *vos'tok* mamy *vos'toka*, a do *śe'dok je'dok* mamy *śe'do'ka je'do'ka*... Przy rozkładzie wyrazu *vostok* na *vos't-ok* tylko krok do wyprowadzania jego rdzenia z niemieckiego *Ost*. Inną zaś razą ten sam osobnik rozkładał w swem myśleniu językowym wyraz *vostok* na *vos-* (= polskiemu *wz-*) i *-tok*, zgodnie z etymologią myślenia językoznawczego, uzbrojonego wiedzą historyczno-porównawczą.

Jedna z uczestniczek mego seminarjum (»Ćwiczenia etymologiczne«) w uniwersytecie lubelskim, odznaczająca się wogóle niepospolitym sprytem lingwistycznym, przytoczyła wyraz *wstęga* jako zawierający w sobie sufiks *-eg-a*, tak że rdzeniem byłoby *wst-*. A uczyniła to pod wpływem tego, że w danej chwili zajmowaliśmy się etymologią wyrazu *mitrega* i chodziło o znalezienie wyrazów, zawierających w sobie ten sam sufiks (*włóczęga*, *ciemięga*, *niedołęga*, *mordega*...), oczywiście dla myślenia lingwistycznego, bo, z powodu

braku rdzenia *mitr-* z tem samym znaczeniem, dla obiektywnego myślenia językowego rdzeniem semazjologicznie centralnym wyrazu *mitrega* jest *mitreg-*, nie dające się rozłożyć. Po krótkim zastanowieniu się wzmiankowana osoba zorientowała się, że we *wstęga* rdzeniem jest *tęg*, a *fs-* (*ws-*) należy uważać za prefiks (przedrostek).

Na konieczność rozróżniania etymologij myślenia językowego od etymologij myślenia językoznawczego wskazywano wielokrotnie, tylko może w innym nieco oświetleniu i pod innym kątem widzenia, aniżeli ja to czynię w danej chwili. Z ostatnich znanych mi prac tutaj się odnoszących mogę wskazać na dwie rozprawki w Nr. 1 »Języka Polskiego« (styczeń, luty 1919): 1) K. Nitscha »Z dyletantyzmu językowego«, 2) J. Zborowskiego »Z dziejów polskich wyrazów i zwrotów: *Mocarny*«. *J. Baudouin de Courtenay*.

Rozbiór językowy *Ojczenasza*.

(Ciąg dalszy).

święć się imię twoje.

Ze słów: *święć się imię twój* | *e* tylko ostatnie możemy znaczeniowo podzielić, inne stanowią jednolite całości.

Porównawszy *święć* z innymi rozkaznikami, jak *przyjdź*, *bądź*, *pisz*, *rób*., stwierdzimy, że cechą rozkaznika jest właśnie brak końcówki. Jako oboczności *święć* zapiszemy: *świec-* w *święcę*, *święcone*, a poza czasownikiem: *święt-* w *święty*, *święto*., *święt-* w *święteczny*..

się, wyraźny biernik do *siebie*, *sobie*, *sobą*, możnaby na uparte go podzielić na pień *ś-* i końcówkę *-ę*, jak w *mię*, *cię*, lub, powołując się na formy *sobie*, *sobą* i *ty*, *tobie*, *tobą*, na *s-* i *-ię*; wobec równowartościowości form z *sie-* i z *so-*, a w zaimku 2. osoby form z *cie-* i z *to-*, obie te analizy byłyby z dzisiejszego punktu widzenia równie dobre. Sądzę jednak, że słówko to jest wskutek swego niepomierne częstego używania jak zmechanizowane i zjednoczone, że nie porównywane z innymi zaimkami, ale brane samo w sobie, dla dzisiejszego poczucia językowego podzielne nie jest.

imię ma oboczności *imień-* (*imienia*, *imieniu*) i *imion-* (*imiona*, *imion*..), a poza rzeczownikiem jeszcze *imien-* (*imienny*). Stosunek głosowy *-ień-* || *ion-* jest ten sam, co wymieniony przy *niebiesiech* *-ieś-* || *-ios-*; mamy go też np. w imiesłowach typu *niesieni* || *niesiony*, w *dzień* || *dzionek* i t. p. W obu razach widzimy tu *e* z poprzedzającą i następującą »miękką« obok *o* z poprzedzającą też »miękką« (wyrażającą się w piśmie bardzo często przez *i*), ale z następującą

»twardą«. Tenże typ mamy w *gniecie* || *gniotę*, *wiedzie* || *wiodę*, *wiezie* || *wiozę*, *na czele* || *czoło* i w niezliczonych innych, nie wchodząc więc znów w bliższe formułowanie, możemy stwierdzić, iż tego rodzaju oboczność, z którąśmy się tu już dwukrotnie spotkali, jest dla polszczyzny bardzo typową. Jako pomieszanie grup *-ień-* i *-ion-* może się wprawdzie trafić i *-ioń-*, jak np. w VI księdze »Pana Tadeusza«:

»Brali różne przydomki, zwane *imioniska*«.

ale to już twór odosobniony i nieco sztuczny.

twój | *e*: w *twój-*, jak i w obocznej formie *twój*, tkwi znaczenie zaimka dzierżawczego 2. osoby l. p.; *e*, wyrażające składniowy związek tego zaimka z *imię*, oznacza tu mianownik rodzaju nijakiego przymiotników i przymiotnikowych zaimków. Dalszy podział osnowy *twój-* nie byłby już podziałem znaczeniowym, ale etymologiczną analizą, podobnie jak zaznaczona wyżej analiza innego zaimka dzierżawczego: *nasz*. Czujemy co najwyżej, że *tw-* i *ty* wspólnego są pochodzenia, przypuszczamy, że *ty* było podstawą powstania *twój-*, ale nawet najbliższe analogie innych zaimków dzierżawczych, jak *swój* i *mój*, i łączenie ich z *sobie* i *mnie*, nie nadadzą części *-ój* znaczenia dzierżawczego: jest ona najzupełniej martwa, o wiele bardziej, niż omawiane wyżej *-ech*. Po tej próbie dalszego rozbioru pozostajemy przy pierwotnem wrażeniu, że *twój-* jest wyrazem znaczeniowo niepodzielnym.

A teraz musimy powtórzyć całe zdanie: *święć się imię twoje*, bo w zdaniu dopiero uwidoczni się znaczenie pierwszego wyrazu. Widzimy mianowicie, że *święć* nie oznacza tu drugiej, ale trzecią osobę rozkaznika, że więc znów mamy tu coś niezwykłego: boć w języku codziennym powiedzielibyśmy: *niech się święci imię twoje*. Nauczeni doświadczeniem, z góry już przypuścimy tu jakiś archaizm; istotnie, w starej polszczyźnie wymienione dwie osoby l. p. rozkaznika miały wspólną formę, dzisiejsza zaś forma opisowa z *niech* jest późniejsza; tenże archaizm mamy powtórzony w bezpośrednio następujących: *przyjdź królestwo twoje* i *bądź wola twoja*. Inaczej natomiast musimy osądzić zwroty codzienne w rodzaju *bądź pan łaskaw*: skoro nasze *będzie pan łaskaw* powstało z dawniejszego, jeszcze i dziś spotykanego *będziesz pan łaskaw*, gdzie *pan* zastępuje pierwotny wołacz *panie*, to i w *bądź pan łaskaw* mamy do czynienia z pierwotną osobą drugą. (C. d. n.)

K. Nitsch.

Z dziedziny stylistyki.

2. Stanisław Potocki.

»Na czele wszystkich retoryk staje prawodawcza Arystotelesa Retoryka, następnie nieśmiertelne Cyncerona i Kwintyljana pisma, co tak wymownie rozwinęły suche nieco lecz klasyczne Arystotelesa przepisy« — pisze Stanisław Potocki na początku XIX wieku. Z innych wymienia jeszcze »rozprawę Longina o szczytności« i »wyborną o wymowie krytykę Dionizego z Halikarnasu«, poczem przechodzi odrazu do czasów najnowszych, zaznaczając, że najwięcej jest winien »sławnemu krytykowi Laharpe, wymownej o pochwałach Tomasa rozprawie i uczonej Blera Retoryce«. Oni właśnie byli przewodnikami Potockiego przy pisaniu jego 4-tomowego dzieła »O wymowie i stylu« wydanego w Warszawie r. 1815. Rzecz o wymowie zajmuje całe dwa pierwsze tomy i znaczną część trzeciego. Następnie autor przechodzi do stylistyki, ale nie przystępuje do niej bezpośrednio, gdyż przedtem jeszcze szeroko rozprawia o »początku i postępie języków«, »o początku i postępie mowy i pisania«, a dalej osobny rozdział poświęca nauce »o składzie okresów«, czyli od-tąd zaczyna właściwą stylistykę.

Okres według niego »powinien zamykać w sobie podanie czyli myśl zupełną«, nie ma być ani zbyt długim, ani zanadto krótkim, a pisarz winien dbać o to, aby okresy harmonijne i dźwięczne przeplatały się z mniej harmonijnymi dla uniknięcia »tęsknej« jednostajności, czyli — jakbyśmy dziś powiedzieli — dla wyzyskania prawa kontrastu. Za przymioty dobrego okresu Potocki uważa: jasność, właściwość, jedność, moc, harmonję. Ciekawe są zwłaszcza uwagi dotyczące harmonji okresu: wzięto ją tu w znaczeniu dwojakim: muzykalnej strony języka, jako zespołu brzmień więcej lub mniej przyjemnych, i zgody pewnej między brzmieniem a znaczeniem wyrazu, czyli »melodji mowy«.

»Uważajmy najprzód — pisze Potocki — ogólnie brzmienia przyjemne, jako własność perjodów dobrze złożonych. Oczywiście jest, iż skład harmoniczny od dwóch zawisł rzeczy: od wyboru słów i od ich układu. Niewiele mamy do powiedzenia o pierwszym, chyba żebyśmy chcieli zapuścić się w błahe i tęskne szczegóły o mocy różnych głosek lub o dźwiękach prostych, z których się składa mowa. Rzeczą jest jasną, iż słowa najprzyjemniejsze uchu są te, których brzmienie jest słodkim i płynnem, przyzwocie przepiecione samogłoskami i spółgłoskami, w których te ostatnie nie roztrącają się nieprzyjemnym sposobem i w których pasmo samogłosek nie sprawuje rozdzwiku. Rzeczą jest jasną, że wszystkie

brzmienia do wymówienia trudne są twardemi i nieprzyjemnemi dla ucha. Samogłoski dodają słowom słodyczy, spółgłoski — mocy, a z ich umiarkowanego przekładania rodzi się harmonja«. Dla autora są to wszystko »rzeczy jasne«, ponieważ polegają tylko na sprawdzianach podmiotowych, osobistych; z objaśnień jednak jego niepodobnaby wyprowadzić wniosków, które wyrazy więcej, a które mniej harmonijnie brzmią dla ucha, jakie brzmienie jest słodkie i płynne i co znaczy przyzwoite przeplatanie samogłosek ze spółgłoskami, o ile pominiemy jakieś wyjątkowe skupienia spółgłosek np. *uszczknąć, bukszpan* i t. p.

Więcej się nasz autor rozpisuje o wzniesieniach i spadkach głosu przy czytaniu okresów, przyczem jasno sobie zdaje sprawę z tego, że niepodobna żywcem przenosić przepisów klasycznych do naszej mowy. Zaznacza więc przedewszystkiem brak polskiego iloczasu a następnie zauważa, iż »cała ta nauka o mierze i spadkach, nawet taka, jaką nam wystawują dawni retorowie, jest po większej części obojętną i niepewną. Widać wprawdzie, iż więcej cenili i starowali, jak my, melodją mowy, lecz ze wszystkich ich rozpraw o tem niepodobna wyciągnąć jednego przepisu, zdolnego tę sztukę w praktykę zamienić«. Uznając jednak, że sprawy tej pomijać w zupełności nie należy i odwołując się głównie do ucha, nawykniem i uwagą umocnionego, sądzi przecież, że można wystawić niektóre przepisy, »ucho do równodźwięku ukształcić mogące« i tych czytelnikowi nie odmawia.

»Równodźwięk perjodu — mówi — mianowicie od dwóch rzeczy zawisł: od dobrego podziału członków i od zamknięcia czyli spadku całkowitości. Najprzód więc na skład członków uwagę naszą zwrócić powinniśmy. Jest to ważnem dostrzeżeniem, że co się podoba organowi mowy, zawsze pochlebny skutek na uchu sprawuje. W biegu perjodu ukończenie każdego członka odpoczynek w wymówieniu stanowi. Te odpoczynki powinny być podzielone sposobem nietrudniącym zwykły bieg oddechu, w odległościach, coby miały między sobą niejaki pomiar śpiewowy«. Tu więc mamy zasadę przedmiotową, z fizycznej natury człowieka wypływającą, długość oddechu, która jednakże nie domaga się podziału okresu na zupełnie równe części. »Uważać wszelako należy — czytamy dalej — iż zbyt wielka liczba odpoczynek w perjodzie, w zbyt równych odległościach, zbyt równo urządzonych ma pozór przysadności zawsze nieprzyjemny«. Autor bliżej tego nie tłumaczy, ale domyślamy się, że wtedy proza staje się zbliżona do toku wierszy, a przeto nabiera charakteru »przysadności« (przesady), nienaturalności, sztuczności.

»Najistotniejszym — według Potockiego — po urządzeniu członków jest spadek czyli zamknięcie okresu, bo właśnie koniec najwięcej ucho uderza. Lecz jedynie ważny przepis, który o tem dać możemy, jest, że ile razy dążymy ku powadze lub wyniosłości, dźwięk wzrastać aż do końca powinien i że do niego zachować należy członki najdłuższe i najdźwięczniejsze słowa«. Czuł tu Potocki, że wpadł w ten sam błąd, za który niedawno karciał dawnych autorów, że od nich »niepodobna wyciągnąć jednego przepisu, zdolnego tę sztukę w praktykę zamienić«, na co jednak nie znalazł lekarstwa. W dalszym ciągu powtarza tylko, że mowę należy przeplatać perjodami rozmaitej długości i rozmaitego brzmienia, aby nie wpaść w rażącą, w tęskną, t. j. w przykrą jednostajność.

Przechodzi potem do »melodji« mowy, zaznaczając, że »dwa jej stopnie naznaczyć można: pierwszy polega w pasmie brzmień przystosowanych do osnowy mowy; drugi — w wystawieniu podobieństwa przedmiotu za pomocą dźwięków, których używamy ku opisaniu jego«. Przystosowanie brzmień do treści gruntuje się »po części na przyrodzeniu, po części na stowarzyszeniu pomysłów. Każdy rodzaj śpiewu czyli brzmień ciągłych daje mowie charakter i wyraz tegoż rodzaju. Perjody pełne i dźwięczne, w sposobie Cicerona, wystawiają imaginacji wyobrażenie ważności, mądrości i wspaniałości, bo takim jest ich ton przyrodzony. Lecz ta harmonja nie przystałaby wyrazowi gwałtownej namiętności upornych roztrząsań, lub poufałego podania; trzeba tutaj miary żywszej, prościejszej, często nawet skorszej. Trzeba, by styl i mowa wraz z myślami zmieniały postaci, jeśli chcemy mieć je zawsze między sobą stosownemi«. A więc rzecz cała sprowadza się znów do dłuższych i krótszych okresów i więcej tą sprawą autor się nie zajmuje, przechodząc natomiast do malowania podobieństwa dźwiękami.

Potocki twierdzi, że dźwiękami naśladować można: dźwięki, ruchy i wzruszenia duszy, a przedstawia to w słowach następujących: »Najprzód za pomocą przyzwoitego słów wyboru można zdziałać podobieństwo brzmień szczególnych, które chcemy opisać, jako to: szelestu bałwanów, huku wiatrów, mrużenia strumyka. Jest to najniższym stopniem tej piękności, bo dźwięki wyobrażone dźwiękami wystawiają naśladowanie przyrodzone, a między pomysłami jednego rodzaju łatwo jest ustanowić związek«. Ten rodzaj naśladownictwa, zwany dziś *onomatopoją*, bywa przedmiotem rozważań autorów i dzisiejszych stylistyk; ci jednak stawiają tym dźwiękom naśladowczym pewne wymagania, np. żeby nie były naśladownictwem zupełnie wiernem, i stwierdzają, że często naśladownictwo jest złudzeniem, gdyż opiera się nie na istotnem podobieństwie,

lecz raczej na »stowarzyszeniu pomysłów«, jak się wyraża Potocki. Nasz autor tego nie spostrzega, kiedy pisze: »Bez wielkiej biegłości poeta, co chce opisać dźwięki śpiewowe i słodkie, wybiera słowa, których brzmienie jest płynnem i przyjemnem uchu. Kiedy, przeciwnie, chce naśladować dźwięki przykre i twarde, używa słów stosownych i do wymówienia trudnych. A w tem skład języka staje mu na pomoc, bo prawie we wszystkich znajdujemy, że nazwisko każdego osobnego brzmienia jest ukształcone sposobem zdolnym do wystawienia niejakej stosowności z brzmieniem, które wskazuje, jako to: *grzmienie piorunów, świst wiatrów, dział ryczenie*« (dziśbyśmy woleli powiedzieć *dział ryk*, co wydaje się mocniejszym od *ryczenia*).

Potocki idzie dalej, pisząc: »Ruch jest drugim rodzajem przedmiotu, który często dźwiękiem naśladować usiłujemy, jako to: jego porywczosć, powolność, gwałtownosć, słodycz, foremność, albolit też kiedy z łatwością lub wysileniem działa. Chociaż niemasz naturalnego stosunku między ruchem i jakimkolwiek bądź brzmieniem, niemniej przecież mocno uderza wyobraźnią, jak tego doświadczamy w związku muzyki z tańcem«. Według Potockiego zgłoski długie »wystawują naturalnie pomysł ruchu, co działa zwolna«, czego mają dowodzić cytaty... z poetów starożytnych. O dowody z języka polskiego byłoby trudniej w braku różnic iloczynowych. Tu Potocki pomieszał dwie rzeczy: skład dźwiękowy słów i tempo ich wygłoszenia; przy czytaniu mimowoli zwalniamy lub przyspieszamy wygłoszenie wyrazów w miarę tego, czy jest tam mowa o czynnościach odbywających się zwolna, czy też szybko, a także odpowiednio do treści wzmacniamy głos lub osłabiamy, używamy tonów wysokich lub niskich.

Wreszcie o trzecim stopniu naśladownictwa dźwiękowego czytamy: »Namiętności i wzruszenia duszy lub umysłu składają trzeci dział, który brzmienie słów wyobrazić może. Na pierwszy rzut oka dźwięk wydaje się wcale obcym tym przedmiotom, lecz i istnienie niejakego stosunku między nimi jest dostatecznie udowodnionem mocą, jaką ma muzyka, wzbudzania lub ożywiania pewnych namiętności i zmieniania następnie uczuć naszych z zmianą miar swoich. Logicznie mówiąc, nie można twierdzić, iż to stanowi podobieństwa między myślą a dźwiękiem. Zgłoski długie albo krótkie nie mają stosunku ani z namiętnościami ani z myślami; ale jeżeli za pomocą samego ich brzmienia układ słów przypomina raczej jedno pomysły niż drugie, jeśli skłania umysł do przyjęcia wrażenia, jakie chcemy dać mu uczuć, można powiedzieć, iż ten układ ma niejaka stosownosć z sensem, a przynajmniej nie jest mu obcym.

Wyznaję, że w wielu miejscach, w których twierdzą, że ta stosowność jest widoczną, trzeba do jej odkrycia pomocy wyobraźni, i że się trafia niektórym czytelnikom dziwić temu rodzajowi piękności tam, gdzie inni śladu jej nie znajdują: co stąd pochodzi, że pierwsi są inaczej usposobionymi, i że śpiew, który słyszeć mnie mają, jest płodem ich wyobraźni. Zaprzeczyć przecież nie można, że istnieją przykłady tego rodzaju, i że poezja jest zdolną działać je«. Tu już więc tylko autor stwierdza fakt pewien. niezawsze zresztą oczywisty, i nie kusi się wcale o jego objaśnienie naukowe, o wykrycie istotnego związku, mającego zachodzić między treścią a jej formą językową, a tem mniej nie występuje z receptą, w jaki sposób można tej techniki nabyć, jakkolwiek wszystko, co pisze o stylistyce, ma na celu nietyle wytłumaczenie rzeczy, jak praktyczne pouczenie czytelnika. (D. c. n.).

Jan Łoś.

Tycze się, dotyczące.

Profesor S. Askenazy bardzo źle pisze widać po polsku, skoro w majowym numerze »Poradnika językowego« poświęcono jego książce »Gdańsk a Polska« aż osobne »pokłosie«, całe półtorej strony. Tylko że zarzuty, a jeszcze bardziej ich uzasadnianie, są nieraz do prawdy dziwne. Tak np. ma być *spóźniany* a nie *spaźniany*, bo »czasowniki utworzone z tematów przymiotnikowych nie zmieniają rdzennego *o* na *a* w formach częstotliwych«; istotnie? a *odnawiać*, *uzdrawiać*, *wyżłacać*...? Albo potępia się zwrot: »wedle własnego *widzimisia*«, bo »*widzimisię* jest sztucznym rzeczownikiem, powstałym z całego zdania... Jest tedy nieodmienny, bo inaczej należałoby się domyślać mianownika *widzimiś*«. Pomijając już, że mianownikiem jest *widzimisie* (tak pierwotnie, a i dziś w wymowie, z końcówką *-e*, nie *-e*), zapytać można, czy *Zdrowaś Marja* nie jest też całym zdaniem? a przecież nie przeszkodził ten fakt Mickiewiczowi napisać zgodnie z powszechnym językiem:

»Lecz między *Ojczenaszem* i *Zdrowaś Maryją*

»Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją«.

Dalej »powinno być *niegdys*, bo się myśl odnosi do przeszłości, a *kiedys* wskazuje zawsze na przyszłość«. Zawsze? Weźmyż Lindego, a znajdziemy: »Byłeś też *kiedys*, jako i my« (Knapski) lub »Byli nasi Turkom groźni *kiedys*, A cóż potym, kiedy to już nie dziś?« (Strykowski). A choćby Mickiewicza »Tak ich *kiedys* nazwali mimo lat różnicę« (Pan Tadeusz, ks. II) lub Słowackiego

»Żem je znał *kiedys* na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!«

Dziwnie też brzmi uwaga, że »się *półtora stopa* odmienia w obu częściach rzeczownikowo«, bo czyż *półtora stopa* istnieje? Wreszcie gani się formę *dotycze*, której poświęcam niniejszy artykuł. Co do p. Askenazego zaś, to trzeba chyba stwierdzić, że, pomijając drobne usterki, pisze on po polsku dobrze. Inna rzecz jego dyletantyzm na polu językoznawczem, którego przykład podaję w osobnym artykule, skoro uszedł oka tak zapalczywie polującego na »błędy« językowe autora »pokłosia«.

Czytamy więc w danem miejscu o *dotycze*: Ponieważ bezokolicznik jest *dotyczyć* — odmieniamy ten czasownik jak *chwalić* (*chwalisz, chwali*) a więc *dotyczy*«. Trudno się z tem zgodzić, choćby dlatego, że wtedy trzeba by rozumować: »Ponieważ bezokolicznik jest *spać* — odmieniamy ten czasownik jak *brać. klaskać* czy *śluśchać*, w żadnym więc razie nie może być *śpi*«, lub: »Ponieważ bezokolicznik jest *biec* — odmieniamy ten czasownik jak *móc* (*możesz, może*), a więc *bieże*, nie *biegnie* ani *bieży*« i t. p. Ale w takim razie nie istniałyby w języku zupełnie t. zw. wyjątki. To jedna strona, czysto teoretyczna.

Druga jest faktyczna: Co mianowicie zrobić z formami *dotycze, co się tycze*, które przecie znamy z literatury wszyscy, choćbyśmy ich sami nie używali? Czyżby źle mówił Mickiewicz przez usta Buchmana:

»...to pierwsze żywotne pytanie;
Drugie, rewolucyjnej władzy się *dotycze*;
Podział jest trafny, tylko przewrócić go *życzę*«?

Albo Konarski: »Co się na koniec *tycze* niebezpieczeństwa«... (O skutecznym rad sposobie, t. III, 1762, str. 316)? Linde wprawdzie *tycze się* odsyła do *tknąć, tknie się*, gdzie daje przykłady tylko na *tyczy się*, ale pod *dotyczeć się* cytuje z Knapkiego (1641): *dotycze się, dotycze* i *co się tycze*. A przecież zajrzenie do Lindego obowiązuje w razie potrzeby każdego miłośnika polszczyzny; nie można się zadowolić milczeniem o tem słowie jednej lub drugiej współczesnej gramatyki, choćby 5. wydania Kryńskiego. Wystarczy zaś Lindego i Mickiewicza, by stwierdzić, że *dotycze* jest formą zupełnie dobrą, a tylko — jak sami czujemy — dziś już nieco przestarzałą.

Ale teraz — co dla nas ważniejsza — jak wyjaśnić ten dziwny stosunek: *dotycze* — *dotyczyć*, nie dający się pomieścić w ramach żadnej klasy koniugacyjnej? Zaczniemy znów od teorii czyli w tym wypadku od naszego poczucia językowego, wyjdźmy jednak nie od

bezokolicznika, ale od stwierdzonego staropolskiego czasu teraźniejszego *dotycze*. Chwila zastanowienia wystarczy, by zrozumieć, że normalny bezokolicznik nie może do niego brzmieć *dotyczeć* ani *dotyczyć*, może być natomiast *dotykać*, podobnie jak do *skacze* mamy *skakać*. Stwierdziwszy zaś to, poszukajmy faktów, oczywiście u Lindego. Niestety materiał tam zebrany niezupełnie nas jeszcze pouczy. Bo prócz wymienionych już wyżej *tycze się* i *dotycze* znajdziemy najpierw: »księgi, któreby się *dotyczały* wiary chrześcijańskiej« (Bazylik, 1567) i »ta część ustaw, które [może myłka zamiast: *która*] się sumnienia albo chwały bożej *dotycza*« (Seklucjan, 1551); Linde tłumaczy je sobie jako słowa niedokonane z bezokolicznikiem *dotyczac się*, który umieszcza w nagłówku po dokonaniem *dotyczeć się*, ale na to *dotyczeć* przykładu u niego niema, jest ono więc tylko jego hipotetyczną rekonstrukcją. Zato pod *tknąć* mamy: »co się *tknie* sądów« (Starowolski, 1642) i »co się *tkło*« (Bielski, 1564); z tych form wiemy już choć tyle, że w temże znaczeniu istniało słowo jednokrotne *tknie*, *tknąć*, do którego wielokrotne musiało oczywiście brzmieć *tykać*. I musielibyśmy poprzestać na tej hipotezie, gdyby nie materiały do Słownika staropolskiego w Akademji Umiejętności zebrane i w znacznej części już uporządkowane. Tam znajdujemy: 1. z r. 1405: »Sandziwog receptit pecuniam swe prawe, ges se *neti-kali* derzscowa rókoyemstwa, ale swe prawe penódze« (Przyborski, Vetustiss. adiectiv. linguae pol. declin. 6), co przeczytamy: »Sędziwoj [otrzymał pieniądze] swe prawe, jeź [= które] sie nie *tykały* [= tyczyły] Dzierżkowa [= Dzierżkowego] rękoyemstwa, ale swe prawe pieniądze«. 2. z r. 1420: »Que ipsius honori tractat czssosse yego czczy *tycze*« [= czso sie jego czci *tycze*] (Staropolskie prawa pol. pomniki VII 3, nr. 1274). 3. z r. 1529: »A co się *dotycze* winy« VI 6 i »A co się *dotycze* czci« VI 9 obok »Krol ślubuje nikogo nie karać na zaoczne powieści, coby się *dotykało* majestatu« I 1 (Pierwszy statut litewski, wydany w »Zbiorze praw litewskich«, Poznań 1841). Teraz już mamy fakty i stwierdzamy prawidłową konjugację: *dotycze* — *dotykać*. Widzimy, że to pierwotne *tycze* zmieniło się potem na *tyczy* czyli przeszło do innej klasy, żywszej, bo do dziś produktywnej; sprzyjało temu przejściu rzadkie w tym nieosobowym czasowniku używanie bezokolicznika, który też wychodził z pamięci i za który w razie potrzeby podstawia się dziś *tyczyć*, znów dość rzadkie, skoro ani Linde ani Słownik Warszawski nie dają konkretnego przykładu z literatury. Kiedyż nastąpiła ta zmiana *tycze* w *tyczy*? Według Lindego możnaby sądzić, że obie formy współistniały od w. XVI do XVIII, cytuje on bowiem: »Mistrzu, nie *tyczy* się to ciebie, że giniemy?« (Leopolita, 1561). Ale materiały do Słow-

nika staropolskiego wykazują, że Linde przystosował to zdanie do postaci z początku XIX w. (co się u niego trafia), w oryginale bowiem ten werset z ewangelji według Marka IV 38 brzmi: »nie *tycze* sie to ciebie, że giniemy?« Po odrzuceniu zaś tego przykładu okaże się, że do XVII w. panuje wyłącznie forma na *-e*, a najdawniejszą na *-y* mamy dopiero u Troca, słownikarza z XVIII w.

Niezrozumiałe jest jedno: na wzór częstotliwych *zamykać zamyka*, *posyła* i t. p. oczekiwalibyśmy do *dotykać* nie *dotycze*, ale *dotyka*, znane z konkretnego znaczenia tego słowa: 'dotyka się palcem'; dlaczegoż w znaczeniu przenośnym: 'ściąga się, odnosi się do czegoś' mamy odrębny typ w rodzaju *skakać, skacze*? Tu stwierdzimy tylko, że typ ten powszechny jest także w czeskim: *dotýče, dotýkati* (liczne przykłady u Gebauera: Hist. mluvnice j. českého III 2, 366—7 i Slovník staročesky) i w serbo-chorwackim: *dotíce (se) mene — doticati* (zob. Rječnik Akademji zagrzebskiej), niema go zaś w rosyjskim (Словарь русского языка Akademji petersburskiej). Zjawisko zatem nie jest specjalnie polskie i ma jakieś głębsze korzenie. Tylko że w czeskim i chorwackim typ pierwotny do dziś się zachował: Gebauer, znalazłszy u pisarza z epoki upadku języka (Seelisko, t. j. Želízko, 1774) zwrot: »co se jich *dotycelo*« zamiast zwykłego *dotykalo*, robi uwagę, że S. pisze tak chyba z »neumelosti«. Wyłącznie polskiem zdaje się więc być to niedawne przejście do szerzącej się klasy na *-y-* (*-i-*). Co je spowodowało, w jakich odbyło się okolicznościach, na to — wobec braku szczegółowszych zbiorów materiałów do epoki średniopolskiej (wieki XVII, XVIII) — dokładnie odpowiedzieć trudno.

K. Nitsch.

Z dyletantyzmu językowego.

Pojęcia p. Askenazego o dialekcie kaszubskim.

W książce »Gdańsk a Polska« (Warszawa 1919) pisze prof. Askenazy: »[Język kaszubski] zachował pewne pierwotne cechy swej odrębności prasłowiańskiej, lecz z biegiem czasu coraz silniej się polszcząc, stał się wreszcie odmianą mowy polskiej, jak sami Kaszubi odmianą narodu polskiego. Stał się nierównie zrozumiałszym dla Polaka z Warszawy i Krakowa, niż *plattdeutsch* dla Niemca z Monachjum lub Berlina, niż narzecze bretońskie dla paryżanina«... (str. 133).

Ciekawe, skąd p. Askenazy wie o prasłowiańskiej odrębności kaszubszczyzny. Jakie takie zapoznanie się z rezultatami badań

językoznawczych pouczyłoby go, że odrębność kaszubska nie wykracza nietylko poza języki zachodnio-słowiańskie, ale nawet poza t. zw. grupę lechicką. Zdumiewające jest też twierdzenie, że »język kaszubski.. stał się nierównie zrozumialszym dla Polaka.. niż narzecze bretońskie dla paryżanina«. Pominąwszy »stał się« zamiast »był i jest« i pominąwszy nazwanie kaszubskiego »językiem« a bretońskiego »narzeczem«, trzeba się na to zdanie zgodzić, tylko że równie dobrze można było napisać, iż kaszubski zrozumialszy jest dla warszawiaka niż tenże kaszubski dla paryżanina, boć bretoński w zasadzie nie jest francuskiemu bliższy niż kaszubski. Książka ogłoszona została po części na kongres pokojowy i miała być zaraz tłumaczona na francuskie, wątpliwe jednak, czy także owo zdanie mogło nam pomóc w Paryżu, gdzie przecie wiedzą, że bretoński jest nie »narzeczem« francuskiego, ale odrębnym, nawet nie romańskim ale celtyckim językiem; na podstawie tego porównania mógłby ktoś chyba wyciągnąć wniosek, że kaszubski stoi do polskiego coś w tym stosunku jak litewski.

Tego rodzaju sądy o sprawach językowych są u nas pospolite: skądże historyk ma się znać na języku? Ale niechby językoznawca napisał przygodnie coś podobnego z zakresu historii! oczywiście uznaloby się go za nieuka. P. Askenazy cytuje wprawdzie na str. 200 kilka prac z dyskusji językowej o Kaszubach, ale ostatnia z nich ma datę 1898! Nie usprawiedliwia fakt, że książka jest tylko dopełnieniem wydaniem rzeczy z przed lat 15, bo niejęzykowa dyskusja o tymże przedmiocie dopełniona jest aż po rok bieżący.

K. N.

Pytania i odpowiedzi.

Pod adresem Akademji przyszła karta pocztowa następującej treści: »Pan Łoś Jan na *ra-ucie* podczas *pa-uzy*, myśląc, że to *na-ukowe* posiedzenie, siedząc w *przestronym* pokoju za *szklanym* parawanem, nie założywszy *uździenicy* swojej fantazji, myśląc, że ma do czynienia z pokorną *uczennicą* we *włosiennicy*, napisał elaborat, wydany nakładem Akademji Umiejętności w r. 1919 w Krakowie, w którym uczy:

na str. 25	noc-leg	na str. 43	pre-cla
» »	26 pa-uza		
» »	» pu-szcza	» »	75 jesz-cze
» »	» sprzecz-ny	» »	44 wie-czny
» »	» chrzest-niak	» »	74 ko-stny

na str. 26	srebr-ny	na str. 42	sre-brny
» » »	dzieć-mi	» » 44	dzie-ćmi
» » »	bacz-magi	» » 44	ba-czmagi
» » »	karcz ma	» » 69	kar-czma
» » 27	przystęp-ny	» » 66	wstę-pny
» » »	powietrz-ny	» » 78	wie-trzny
» » »	próż-ny	» » 83	pró-żno
» » »	podob ny	» » 42	podo-bno
» » »	więk-szy	» » 54	O-ksza
» » »	pięk-ny	» » 52	o-kno
» » »	dusz-ny	» » 75	słu-szny

na razie tyle. Nauczycielstwo zapytuje wobec rozp. Min. W. R. i O. P., wprowadzającego nową pisownię, czego się ma trzymać; prosi o wyjaśnienie zagadek, powyżej pomieszczonych, w pismach naukowych, aby mogło przystąpić do nauki nowej pisowni, ustalonej tak wspaniale przez p. Ł.«. Karta jest bez podpisu, stempel pocztowy lwowski.

Autor powyższych uwag niesłusznie czyni mnie wyłącznie odpowiedzialnym za uchwały komisji ortograficznej, dotyczące się pewnych sposobów pisania, które jemu się nie podobają, ale i tutaj nie jest dokładny, gdyż co się tyczy używania pojedynczego lub podwójnego *n*, wyraźnie na str. 22 zaznaczono, że pospolitszy jest sposób pisania *szklanny*, oraz dodano, że »niekiedy trudno orzec, który typ jest powszechniejszy, np. *przestrony* czy *przestronny*«. Dzielenie wyrazu *pa-uza* wpływa konsekwentnie z zasady ogólnej, według której polecono oddzielać części wyrazu między samogłoskami (str. 26); *na-uka* nadto jest wyrazem złożonym podobnie jak *za-ufać*; jeżeli przeto można w *pa-uza*, na *ra-ucie* powoływać się na dwugłoskowy charakter *au*, to w *na uczyć*, *za-ufać*, *po-uczyć*, *do-uczyć*, *za-uważyć*, *za-ułek* i t. p. mamy wszędzie grunt do dzielenia tych wyrazów wedle zasady etymologicznej (str. 25). O tej zasadzie autor kartki zapomniał, wytykając mi rzekomą niekonsekwencję »str. 25 *noc-leg*, str. 43 *pre-cla*«; przecież *precla* wyrazem złożonym nie jest. Podobnie nierozważnie postąpił autor, zestawiając: »str. 27 *więk-szy*, str. 54 *O-ksza*«, gdyż na str. 27 zaznaczono, że według zasady etymologicznej oddziela się przyrostek *-szy*, gdy tymczasem w *Oksza* przyrostkiem jest *-a*.

Pozostaje jeszcze długi szereg »zagadek«, których autor kartki rzekomo rozwiązać nie potrafił, a w istocie przypisał je — jak to widać z tonu kartki — powiedzmy łagodnie, mojej nieuwadze. Tymczasem on to nieuważnie czytał książkę, nie spostrzegł bowiem, że sposoby dzielenia wyrazów, wykazane w kolumnie pierwszej (*pu-*

szcza, *sprzecz-ny* i t. d.) opierają się na zasadzie rachowania się z tem, czy pewna grupa spółgłosek może stać na początku wyrazów polskich. a natomiast przykłady umieszczone w drugiej kolumnie (*jesz-cze*, *wie-czny* i t. d) wybrał ze słowniczka, który rozpoczyna się od uwagi: »Do słowniczka niniejszego weszły także i grupy spółgłoskowe dla wykazania, jak mogłyby być dzielone według zasady, opartej na właściwościach spółgłosek zwartych, zwarto-szczelinowych, szczelinowych i płynnych«, a więc na zasadzie wyłożonej na str. 28. Zapyta może czytelnik, dlaczego w słowniczku nie zastosowano zasady obowiązującego dzielenia wyrazów. Poprostu dlatego, że nie jest to zasada ścisła; jej twórca sam znalazł 26 wyjątków, które przy jej stosowaniu pamiętać należy; ja podałem ich nowych 8, ktoś może ich ilość jeszcze pomnoży. Oczywiście może ona być dogodna pod warunkiem, że w tym punkcie odstępimy od dążenia do zupełnego ujednostajnienia pisowni, gdyż ze względu na wielką ilość wyjątków jedni będą z wyjątkami temi bardziej się liczyć, inni mniej, natomiast zasada, oparta na charakterze spółgłosek jest na prawdę ścisła i łatwa do stosowania. Niezgodności z zasadą obowiązującą nie są liczniejsze (jak to sam autor kartki wykazał), aniżeli niezgodności w pisowni różnych osób, które się będą trzymały zasady obowiązującej. W każdym razie »zagadka«, która trapi autora kartki, ma odpowiedź w samej mojej książce, gdzie powiedziano na str. 27: »Z tym uchwalonym przez Wydział filologiczny Akademji, a więc obowiązującym systemem dzielenia wyrazów prawie w zupełności w wynikach swoich zgadza się system inny, oparty w części swej fonetycznej na właściwościach brzmienia dźwięków spółgłoskowych«.

W książce mojej znajdują się niektóre błędy i niedokładności; wykazał je w liście prywatnym p. dyrektor A. Passendorfer, za co mu tutaj wyrażam szczerą wdzięczność, gdyż usunę je w wydaniu następnem. Szkoda, że autor kartki nie przysłał swego adresu; rozwiązałbym mu trapiącą go »zagadkę« w liście prywatnym, a czytelnikom »Języka Polskiego« oszczędziłbym przez to czytania tych niepotrzebnych wyjaśnień.

Jan Łoś.

SPIS RZECZY: O starożytności języka polskiego A. Gawrońskiego. — Różnorakie etymologie J. Baudouina de Courtenay. — Rozbiór językowy Ojczenasza K. Nitscha. — Z dziedziny stylistyki. 2. Stanisław Potocki J. Łoś. — Tycze się, dotyczy K. Nitscha. — Z dyletantyzmu językowego K. Nitscha. — Pytania i odpowiedzi.

CENA ZESZYTU K. 2:50.

Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie pod zarządem J. Filipowskiego.